№ 24.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.

Rej z Naglowic.

ROK 1843. Poznań, dnia 22. Listopada.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Podług stosunków socyalnych kształci się zwykle i sposób życia domowego po narodach. Stosunki socyalne są znowu zawisłe od warunków przyrodzenia. Do warunków przyrodzenia głównie należy klima każdego kraju. Inaczéj ludzie ubierają się, jedzą, piją, jeżdżą pod strefą gorącą, jak pod strefą umiarkowaną; inaczéj na mglistéj wyspie, inaczéj na lądzie odległym od morza i z czystém powietrzem. W jednym kraju przestają przy stole na zupie z wiśni, sałacie i udach żabich, gdzieindziéj potrzebują silnego mięsa wołowego albo w braku jego, ubitych dobrze klusek. W jednych stronach piją lekkie wina i inne cienkie napoje, w drugich wszelkie płyny, aby tylko były spirytualniejsze. Zgadza się nawet i to z przyrodzeniem, że co w jednym kraju jest za mocne, lub co wystarcza na trzy osoby, w drugim może być słabe i nawet dla jednéj niedostateczne, lecz żeby jadać lub pijać więcéj jak organizm człowieka znieść może, to już niewypływa ani z klimatu, ani z żadnych warunków przyrodzonych, ani ze stosunków szczególnych. W tém oczywiście leży nieszanowanie zdrowia, złe zrozumienie przyjemności, jaką się ma przy używaniu pokarmu i napoju, albo raczéj z przewagi zwierzęcości człowieka nad jego duchem. Niemożna ganić gościnności przodków naszych, która dzięki Bogu jeszcze wszędzie się pokazuje i kwitnie, ale rozwinięcie się ducha w naszym wieku, powinnoby i téj gościnności nadać postępowy kierunek. Przyjechawszy na wieś, trzeba czasem siedem razy, a nawet i dwanaście jeść na dzień. Cóż to pokazuje? Oto że u gospodyni główną rzeczą na świecie jadło. Jakże zaś stawiać wysoko człowieka, który się nie wzbija nad sferę jadła? Gorzéj daleko, kiedy gospodarz zamianuje wicegospodarza. Wypełniają ze wszystkiemi następstwami owo stare słowo **Przynuka** i puszczają w obieg zdrowia: obywatelskie (co właściwie znaczy tu szlacheckie), damskie, bodaj nam się dobrze działo, kochajmy się a niedajmy się i t. d. Nie jedno tu jest bardzo piękne zdrowie, ale od niego ciężko zachorować można. Jaki też to przykład dla koła służących, którzy się przypatrują pijaństwu pańskiemu, a mają być zawsze trzeźwi, bo inaczéj, będą uchodzić za niegodziwców. Jeżeli się też tam zamiesza jeden i drugi chłopiec ze szkół, toć snadno sobie pomyśli, że picie niemoże być rzeczą tak naganną, skoro ojciec, stryj i brat starszy, co już z uniwersytetu wrócił, piją jako gąbki od mycia. Prawdziwa dziś gościnność zależy na tém, żeby pokój dla gościa był czysty, z należytą pościelą; w zimie raz po raz przepalony, aby gościa niepowitać swędem, z którego choroba i śmierć przez zagorzenie powstaje. Jeźli niema we wsi należytego domu zajezdnego, natenczas gospodarz obowiązany pamiętać o służących i koniach swego gościa. Ma się spytać czy jego pojazd nie stoi pod gołém niebem, na śniegu, deszczu lub skwarze. To bowiem udawanie jakieś cudzoziemszczyzny, żeby tylko o samego gościa się kłopotać, a nie o jego służących i rzeczy, już Mikołaj Rej z Nagłowic za Zygmunta Augusta wyśmiewał, a przed trzydziestu laty Stanisław Potocki pyszno — skąpstwem nazywał. I niemasz wątpliwości, że jego podstawa zawsze leży w jakiéj dumie z brzydkiém skąpstwem połączonéj. Zatrzymajmy więc z gościn-

ności przodków naszych wszystko to, co szczerością ma być, a pozbądźmy się tylko tego, coby dzikością nazwać można.

Obrazki i szkice.

(Ciąg dalszy.)

Próżno do całego świata wyciągam ramiona — niemogę nic już kochać!

Próżno chciałbym całą ludzkość przycisnąć do łona — serce me zimne, strętwiałe!

Próżno wołam miłości — miłości! — nie mogę kochać.

Wystygłem jak grób, strętwiałem, bez namiętności jestem, wśród żywych trup — upior.

Ale nudzę was! cóż wam do żalu mojego? — gdy bratnie serce krwią zbroczone, a gorzką łzą zaszły źrenice, wam zabaw, śmiechów trzeba, wam trefić włosy, tańcować, balować, i na was ciąży przekleństwo życia, że kochać nie możecie, że stężał w lód twardy, w lód zimny cały zapał, jakiście mieć mogli.

— Pędziłem do wsi — dnia tego zajechał mnie któryś sąsiad — miał ze mną obrachunki — spóźniłem się z wyjazdem. Już było szarawo, gdym siadał na mojego siwka; dziwnie mi było na sercu, mdlała ręka, co dzierzyła wodze koniowi, i serce biło mocniéj, częściéj, potém słabo — na całym ogromie świata było mi ciasno, odetchnąć chciałem całą piersią — i było mi w całym świecie duszno. Już byłem blisko domu państwa Tomaszów, mijałem przyległy lasek, gdy koń mój parsknął, spiął się, i czwałem w tył mnie unosić zaczął.

Gwałtowny, namiętny, wstrzymałem go, skarciłem — a całym dniem dzisiejszym rozdrażniony zwróciłem go galopem ku domkowi państwa Tomaszów.

W miejscu, gdzie się był przeląkł, stanął mój siwek znowu, spiął się, chciał się wracać, lecz utrzymałem — poskoczył więc naprzód, i nim mógłem pomyśleć, przesadziwszy płot dziedzińcowy zarzał przed gankiem pp. Tomaszów. Zeskoczyłem — nikt nie wyszedł na me powitanie.

Serce mi bije mocno, w oczach ćmi się — wchodzę.

Zosi nie było. Pan Tomasz blady, zmięszany, snać powrócił niedawno z gospodarskiéj przejażdżki — pani Tomaszowa przed kominkiem zamyślona, jednak nie drzemiąca — jakiś nieporządek w bawialni.

Nie witają mnie!

Przemawiam — milczenie! Co to jest?

Przemawiam głośniéj — pan Tomasz nieruchomy.

Biorę za rękę — zimny... Umarł!

Biegnę do pani Tomaszowéj — stężała jéj ręka, zimna cała.

Wołam, przebiegam inne pokoje, wszędzie głucho i pusto.

Powracam, słucham oddechu — oboje słabo piersími robią.

Więc żyją — więc tylko zemdleli! Ale gdzie Zosia! gdzie służba — gdzie moja Zosia! Przyniósłem wody, ocuciłem pana Tomasza naprzód. Powstał starzec z wzrokiem obłąkanym, spojrzał po pokoju, potém na mnie, dziko, szalenie — pochwycił mnie!

— Gdzie córka moja! — zawołał — gdzie Zosia!

— Właśnie pytać chciałem... gdzie ona? co się stało?

— Gdzie ona! co się stało!! — ha! ty pytać? ty! podły uwodzicielu, zdrajco! — ty pytać, gdzie ona! — Oddaj mi dziecię moje! jedyne dziecię moje!! oddaj, bo cię zabiję — widokiem méj rozpaczy zabiję!...

Stałem osłupiały, martwy.

— No, jakże się państwu początek mojéj historyjki podoba?

— Mów pan daléj, co się stało, a prędko — mówże pan — wołały liczne słuchaczki — a ja odrzekłem: muszę teraz odpocząć, napić się herbaty.

— Ach, jakiżeś pan niedobry! — rzekły wszystkie panie razem.

* * *

— Zająłem was? moje szanowne słuchaczki, anielskie panie, które same w niewinności ducha sprowadziłyście na się deszcz moich słów i grad myśli moich! — o pocierpliwcież się chwilkę! Jeślić wy męczycie się słuchając mego prawienia, jakże ja się muszę męczyć prawiąc!...

— Ach, jakiżeś pan niedobry! — rzekła jedna z moich bogin.

— Czy to się rzeczywiście panu przydarzyło? — zapytał drugi aniołek.

— Ale jakiż koniec? co się stało z Zosią?

— O wy niebianki! już wam biją serduszka? już was zająłem, istnie jako pan Antoni powiastką swoją o wojewodzie, który ciągle woła: ja pan! ja szlachcic! i tak rękami macha, że gdyby tu się między nami jakim cudem znalazł, toby potłukł wszystkę porcelanę najłaskawszéj z gospodyń....

— Ależ powiastka pana Antoniego jest śliczna! czego pan chcesz?... zazdrość literacka!

— Jako żywo, łaskawa pani, niemam czego zazdrościć!

— Że też wszyscy literaci — wpadł w rozmowę pan Franciszek — i wszyscy wielcy ludzie muszą się gryźć i nienawidzić.

— Ach, szkoda mój Ezopie, że twoje pisma tak się przed wzrokiem ludzkim ukrywają, jak ich szanowny pan ojciec przed wzrokiem także ludzkim, zanim zajdzie słońce! — szkoda, bo kiedy malutka postać nie dozwala cię do wielkich policzyć mężów, mógłbym cię do literatów choć przyłączyć!...

— Ale mój dowcip! — westchnął Franciszek, i zabił mój przycinek.

Chciałem sobie pogawędzić to z tym to z owym aniołkiem, za głód całodzienny, za zziębnięcie i za improwizacyą wynagrodzić sobie, ale owoż napada na mnie Edmund — zupełnie jak katar albo ból gardła może napaść kogo innego; daléjże naglić mnie, żebym prędzéj nudną gawędę kończył. Opieram się, udaję, że nie uważam, ale tą razą już nie z samolubstwa, tylko z miłości moich słuchaczy — bo ledwiebym ja skończył, onby zaczął improwizacyą i jeszcze jaką?... Wiersze, a Edmund jako żywo ślicznie deklamuje, ale takim jest poetą, jak ja znawcą chińskiego języka. Mój śliczno-włosy, mój mdlejąco-oki! jak zaczniesz jeremijadować twoje natchnienia, to serca nasze wylecą w górę, jako czapki kozackie, rzucone atamanowi na wiwat — W taki sposób odcinając krzyżową sztuką napaście, czynione na mnie zewsząd, byłbym zyskał chwilkę — ale ja mam bardzo miękie serce, i tak miękie, że jak mnie jaki aniołek prosi, to choćby chciał, żebym sobie głowę uciął, albo żebym spalił rękopisma swoje, tobym dla niéj uczynił. Więc też jedna zbliżyła się, ale jeszcze która... pewnie piękniejsza, a w duchu dzielniejsza nawet od Ciebie Pani, która to czytasz — a lubi ona powiastki o duchach, a prosi, żebym zaczynał, i swoje blado-błękitne oczy zwraca na mnie, zaziera wgłąb serca — ach, może kocha.... nie! nie! — ja nie chcę, żeby mnie kochała, bo biada temu, kto zemną jakimkolwiek skojarzony stosunkiem — i myśl smutna przeleciała jak chmura ciężka, czarna, i zwisła nad duszą, i wzdętéj piersi ciężko było, w całym wielkim świecie ciasno — bo gdybym wiedział, że mnie kto kocha... ale poco smutek rozwodzić? bawić ich trzeba — do powieści, do powieści, dobrze że cierpię, roześmieją się, mój ból ich zabawi.

— Summa summarum panowie słuchacze, posądził mnie pan Tomasz, żem uwiódł i wykradł Zosię — ja niewinny jak szesnastoletnie dziewczę! To pewna, że Zosia znikła, że ją widziano przed bardzo niedawną chwilą uchodzącą z jakimś mężczyzną; — jam bywał u państwa Tomaszów, jam wzdychał, kochał się, na mnie więc zwalono cały ciężar winy. Chcę mówić, usprawiedliwić się, chcę dowieść choćby świadectwem mojego rumaka, ale żadna racya nie pomoże, gdy kto nie ma dobréj woli słuchać — każde moje słówko to groch rzucony na ścianę — przeklinają, płaczą, chcą mię zabić; i znów do nóg upadają moich, bym im ukochane dziewczę powrócił — dziecko jedyne matce staréj, ojcu bliskiemu grobu. Serce się moje ścięło. Zosia, mój anioł, coś wcale niejest aniołem! mnie rzuca takie pełne spojrzenia, a z kim innym ucieka!

Kiedy kogo bardzo wielkie dotknie zmartwienie, to duch trętwieje wtenczas i dziecinnieje, tak długo na tułactwie i najdzielniejszy człowiek, schnąć musi przez lata całą tęsknotą za ojczystą ziemią, — za ojczystém słońcem i obliczami ojczystemi, trętwieje wielu i tonie w mystycyzmie, tak ja po życiu z kilku bolesnych tylko wrażeń strętwiałem i już na całym świat zimny, i już tylko jednę widzę postać, we wszystkiém na co spojrzę, w każdéj myśli co przeleci, istnie wesoła gołąbka po nad ducha wzrokiem, a tą postacią Matka moja, z rozdartą piersią, z piersią kipiącą jeszcze ciepłą krwią, z obliczem trupiém, a w pół kajdanem ciężkim skrępowana. — O, śmiéjcie się! śmiéjcie z mojego obłędu; wszak wasze matki są z wami, wytrefione, tańczą i bawią się i śmieją się z wami! O, śmiéjcież się ze mnie, lecz wy zabawek odemnie chcecie! Ha! ha! ja sam się śmieje! spojrzcie tylko! — I wtenczas też mój duch tak strętwiał, jak teraz od dawna jest strętwiały — jeden z najmilszych sercu snów znikł. Przebudziłem się. Budzić się ja nigdy nie lubię, i gdy mi przypadnie powstać z łoża, w którém po wielkich czynach moich jako na wawrzynach odpoczywam, bardzo się markocę. Ale takie przebudzenie, to jeszcze nic, zdarza się co dzień; gdy tamto — gdyby się częściéj powtarzało, toby już człowiek niemógł wytrwać. Jak sami państwo osądzić możecie, byłem w fatalnym ambarasie! — To powiedziawszy odetchnąłem chwilkę, aby westchnąć: „ach, i teraz jestem w ambarasie niemałym! Teraźniejsza moja Zosia — dowcip opuścił haniebnie, zdradził mnie, a nadto zabrakło pieniędzy! Wtenczas przynajmniéj przedała się pszeniczka.“

Ciągnąłem daléj po téj smutnéj, monologowéj uwadze. Jest przysłowie: kiedy bieda, to do żyda, ja go nigdy nie słuchałem, alem sobie inne, do głowy po rozum, szczególniéj umiłował. Więc też i w tym wielkim kłopocie — po radę do głowy.

Moja głowa odpowiada mi najgrzeczniéj, że nic poradzić nie potrafi, dodając komplement, że młodzieniec tak wielkich nadziei, jak ja, powinienby sobie i bez niéj poradzić. Co tu począć? już namyślać się niepodobna, trzeba sobie radzić — więc też wcale nie myśląc, wołam z patetyczną miną na cały głos:

— Panie Tomaszu! pani Tomaszowo! niemartwcie się! niepłaczcie! Ojcze opuszczony przez własną córkę, któryś jako jabłoń w szczerém polu wśród jesiennych zamieci! Matko! coś jako powój, któremu grom niebios strzaskał ów dąb, na którym wiotkie ramiona i giętką kibić spierałaś! — (Notabene, pani Tomaszowa była objętości pękatego pieca, albo przynajmniéj połowy przekupki z za Żelaznéj Bramy, czyli ćwierć przekupki ze Starego miasta, co wyliczam, ponieważ jestem biegłym matematykiem, więc porównanie było trochę fałszywe, ale tém tragiczniéj poetyczne) giętką kibić sparłaś! Bądźcie dobréj myśli! — Zosia mnie zdradziła, przebiła tysiącem sztyletów moje czule ją miłujące serce, bo snadź z innym uciekła. O niewierna, niestała! O niéj to snadź pisał Kraszewski w swoich poezyach. Ale przebaczmy jéj! A wy, wzywam was jeszcze raz, bądźcie dobréj myśli — polecę na dziarskim rumaku! znajdę ją! Uwodziciela zwiążę i szupasem do was odstawię — a Zosię, niewierną, boską Zosię, w tryumfie odwiozę wam, którzyście strapieni, zmartwieni, opuszczeni! Bądźcie zdrowi! rumak rży — już czas!

Gdym wybiegał, słyszałem tylko westchnienie pana Tomasza: „Nieszczęśliwy zwaryował!“ snadź do tego skierowane, który Zosię uwiódł — bo przecież nie do mnie, spodziewam się! lecz zresztą... nie wiem. Siadam na rumaka, pędzę! dokąd? tego istotnie nie wiem — po co? po Zosię! po moją Zosię!

Na polu przeskoczył mój rumak przez dwa płoty i jednę starą babę, która zbierała sobie coś po drodze. Leciałem jak szalony, a nie wiem, dla czego jakoś wierzyłem, że muszę Zosię spotkać? — nie oglądałem się, w którą stronę pędzę, a owoż nagle przedemną błoto! Błoto! to nic dziwnego, konia nie wstrzymuję, nie zważam na obryzgiwania — bo cóż znaczy godzina przeciw wieczności? a jeden zbłocony rajtrok przeciw mojéj Zosi? — Ale za chwilę i koń jeździec padają w jakąś głębię, już i siodło się topi; chcę zwracać, nie mogę — koń się ruszyć nie może! ugrzęźliśmy! O nieszczęśliwać moja godzina! O Zosiu! Zosiu! nie dość, żeś serce zakrwawiła, jeszcze kataru nabawisz!

— Ach! jakiż-że pan niedobry!

— Tak, śmieję się z miłości.

— I z biednéj Zosi?

— I z kobiet wszystkich.

Połajały mnie moje słuchaczki, a jedna zwiędła wojewodzina dodała:

— I z pięknych młodzieńczych uczuć swoich się śmieje!

— Tak, dobrze to paniom łajać, bo nie siedzicie w błocie! dobrze się paniom śmiać z moich młodzieńczych uczuć, czy też sądzić, że ja sam się z nich śmieję (a niech mnie Bóg od takiéj zachowa zbrodni), gdyście nie uwięzły w błocie i to jeszcze z rumakiem, jak ongi nieśmiertelny Albertus wojownik klecha, a teraz ja! O! gdybyście były na mojém miejscu! Panie się śmiejecie, ale gdybyście tam ze mną w owéj otchłani były! nie śmiałybyście się wcale, jeno ze mną razem wyrzekałybyście na złowrogie losy i na wszystkie Bogi słowiańskie! na wszystkie błota w świecie, i na wszystkie Zosie!

— Panie znacie Studya literackie Kraszewskiego? owoż były to dwa dla mnie w życiu najfatalniejsze przypadki: kiedym ugrzązł w błocie raz, a drugi, kiedym w Studyach tych ugrzązł, i w nich musiał koniecznie jakiéj tam rozumnéj myśli szukać, któréj tamże nigdy nie było! a szukałem jéj niestety dla tego, żem musiał napisać recenzyą!

— Zawiść literacka! Co on chce od Kraszewskiego?

— Wzorowy pisarz!

— Autor Szatana i kobiety!

— Zawiść — Kraszewski wyśmiał go w Aktach Babińskich!

— Oj nie to! to! nie to! tylko istna prawda! Kiedy Kraszewski pisze powieść, to jeszcze jako tako, czytać można i rys obyczajowy, gdzie niegdzie mistrzowski — ale niechno się wda w estetykę! to gorzéj się zmartwisz nad jego niedorzecznościami, niż gdybyś w błocie ugrzązł; — a niechno się wda w recenzye, to ci Bejłę i Grabowskiego pochwali (oj szkoda Kraszewskiego, że się tak plami!) — a w poezyę! to cię potopem wodnistości zaleje; — a w historyę! to cię kompilacyi massą aż samego siebie skompiluje! — Więc Boże cię, od tych plag, mój czytelniku chroń!

Dobrzeby było, żeby cię, mój szanowny czytelniku i najpiękniejsza (kobiety lubią, aby je za piękność chwalić, i wolą taką, niż inną pochwałę) z czytelniczek, losy i Bogi słowiańskie odemnie także uwolniły, ale już przynajmniéj do początku 43. r. nie napisałem dla umęczenia was aż pięćdziesięciu sześciu tomów!!

— Owoż, dumam ja, co tu począć! złażę z wielką biedą, chwytam szkapę, ciągnę... ale gdzie tam, opierać się nie mam o co, błoto się usuwa. Rumaka mi żal — zostawiam go, z najsilniejszém przedsię-

wzięciem powrócenia doń, albo przysłania ludzi z drągami. Ale miałem niemałą biedę, nim się z otchłani wydostałem. Okoliczności zmieniają człowieka! obmalowanego błotem, byłybyście panie nie poznały waszego sługi. — Ale miłość własna zaślepia! człowiek sam siebie sądzić nie może, rozumiałem więc, że jeszcze jestem dosyć przyzwoicie piękny, bo przecież w dzisiejszym normalnym stanie mojéj istoty zbyt brzydkim być nie muszę. Idę naprzód do wioski, nie mogę trafić — zmęczyłem się, szukając mieszkań owych to drapieżnych zwierząt, które się ludźmi zowią. W końcu natrafiłem przecie jakiegoś dorostka: musiał mieć ze dwadzieścia cztery lat, a gap' widać, bo miał roztworzoną gębę — więc ja wołam: „Maciusiu! mój bracie, proszę ciebie!“ a on w nogi i woła: gwałtu! wszelki duch Pana Boga chwali — gwałtu!... ja za nim co wyskoczyć mogę. — Maciusiu! łotrze, nie bój się! a ów drab w płacz — Boże ratuj mnie! dy to ten upior wie moje imie! gwałtu! — i płacze fatalnym głosem.

— Stój gapiu, bo cię ubiję! — wołam rozgniewany.

On jeszcze prędzéj, a ja tuż za nim — a krzyczy wniebogłosy!

Naprowadził mnie na wioskę — ha! przynajmniéj na to mi się przydał!

Idzie jakiś stary gospodarz. — A tobie co Maćku?

— Gospodarzu! gospodarzu! o dla Boga, gwałtu!

— A co tobie chłopaku?

— Upior mnie goni! upior — o dla Boga, gwałtu!

— Oszalałeś?!

— Ot, hajnoj pędzi.

A ja właśnie płot przeskakiwałem. Gospodarz snadź był odważny.

— A, jędzo piekielna, przepadnij!

Żegna się — ja lecę — więc on z Maćkiem w nogi.

Ja umalowany błotem nie mógłem tak bardzo biegnąć, wyprzedzili mnie więc kawałek, a już mi tchu nie stało, więc wołać nie mógłem, aby im wyłożyć, że ja żyję jak każdy z nich.

Napotykają organistę. Snadź powracał z karczemki, bo się kołysał słodkiemi marzeniami i dla tego jakieś cykloidy na elipsie zakreślał nogami swemi.

— Uciekaj waść, bo upior nas goni! wołają.

— Gdzie? gdzie?

— Ot, tuż za nami!

— A dam ja mu!

— Tak, chyba szyję do ukręcenia!

— Patrz wasan, ogień bucha z miejsca, gdzie stąpi, a cały czarny — dym z głowy mu wychodzi, a pazury ma takie długie, jak ręce wasana! Oj uciekajmy! i krzyża świętego nie boi się!

Więc uciekają wszyscy troje — było to już we wsi. Wszyscy gospodarze i parobcy powypadali.

Dziewczęta i dzieci i kumoszki powłaziły za piec, ale mężczyzni z kijmi i widłami wypadli. Miałem nadzieję, żeć całéj wsi nie rozpędzę, że mnie wysłuchają. O płonne nadzieje moje! gdy się poczuli na sile, daléj do mnie przypadli, wołając: przeklęty upiorze! zagiń! przepadnij!

Staję — oni idą ku mnie!

Wołam, żem człowiek — oni wołają, żem upior!

Tłumaczę się — zaczynają rzucać kamieniami na mnie! — Trzeba rejterować! a więc wskakuję na dach chałupy!

Oblegają mnie, otaczają w około, włażą za mną, a wciąż gradem kamieni rzucają!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kobieta i Rozsądek.

(Ciąg dalszy.)

Któryś z pisarzy francuzkich następujące dał oznaczenie kobiety: *être humain, qui s'habille, babille et se dèshabille.* Zważając u dam salonowych na tę niepohamowaną żądzę strojów i mód, ubierania się by można, co dzień inaczéj, zmieniania ubioru w ciągu dnia trzy i więcéj razy, — prawieby zgodzić się trzeba na ową definicyą. Dla mężów i ojców byłoby to jeszcze jakokolwiek gdyby ich żony i córy, były jako kwiaty rozkwitujące w całym przyborze kolorów i świeżości. Bo choć to one rozkwitałyby z zielonéj kieski mężowéj, jak z zielonéj obłsłonki, aleby przynajmniéj na całą porę wiosny wytrwały. Tymczasem nasze panie nie przestają ni na tém, nawetby być jako róże miesięczne, wolałyby codzień nowym świeżym strojem rozkwitywać. Nie ma może większego kryminału w kodexie mód i dobrego tonu, jak być na dwóch balach w téj saméj sukni. Kobieta snać wie, że jest ozdobą żywota, i bierze się literalnie w tém znaczeniu, pamiętna, aż nazbyt na ozdobę swą zewnętrzną — dla świata, rzadko dla męża.

Pod tym względem trafne choć trocha uszczypliwe jest porównanie satyryka niemieckiego, który powiada: „kobiety są jak ptaki różnopióre; w domu są szpaki, za domem pawie, w cztery oczy gołębie — a czasami krogulce. Jak ptaki pamiętne są na piórka swoje; w dzień kilka razy dzióbkiem ochędażają, ogładzają, oskubują, choć nie ma tego potrzeby.“

Tu próżność w strojach wyradza próżność w wystawności każdego innego rodzaju. Wystąpić jest

to kosztowny wyraz, który już nawet mężczyzni przyjęli, choć często na ruinę majątku swego. Bo nie ma większéj otchłani chłonącéj wszystko bez powrotu, jak własne tego rodzaju występowanie. Zaraza ta jest cholera na majątki, i udziela się sporadycznie po warsztwach towarzystwa. Uczciwy jeden gospodarz co tego sam nigdy nie znał, ale tylko usłyszał, że aby się pokazać na wielkim świecie trzeba na nim wystąpić, wysyłając syna do stolicy, dał mu bitego talara, mówiąc, a pokaż się błaznie. Niechcący największą prawdę powiedział.

Ale: my niechcący przeszliśmy do wad mężczyzn, któreby podobno przewyższyły niewieście, dla tego wracamy z pospiechem do naszego przedmiotu.

Kobieta jak lubi aby się na niéj świeciło, tak lubi aby się i około niéj świeciło. Kogo stać na to, dobrze. Sprowadza meble z Paryża, Londynu, skrzydło i firanki z Wiednia, kanapy z Petersburga, kuranty z Holandyi — zgoła stolice całéj Europy niosą dań pani domu, co z gustem umie pokoje sobie urządzić. Gdy się w nich sama z ukontentowaniem i zadowoleniem rozsiędzie, w atłasach, perłach, łańcuchach, kolczykach, pierścieniach, naramienniczkach — niewyglądaż sama jako mebel — choć prawda najpiękniejszy z wszytkich? O zgubne to marnotrawstwo i zaraźliwe. Kogo nie stać przynajmniéj muszą być mahonie, kobierce i serwantki, choćby na kredyt wzięte. Nasi przodkowie zamożni, choć skłonni do wystawności, mieli przynajmniéj w tém rozum, że srebra pod któremi się stoły dębowe gięły, miały swoją wartość, były kapitałem, choć martwym. Ale nasze nowoczesne świecitka i meble pozór tylko ubarwiające ani kapitałem nawet nie są. Córka na wyprawę już się ich niedoczeka. A gdy exekutor zabierze, idą na pół darmo.

Ostatnia nareszcie próżność kobiety w tém, żeby sam mąż dla niéj był świecidełkiem, ozdobą — aby więc miał tytuł, godność, a w braku tego poradę. Młodzieniec ubiegający się o pannę, by też i duszę zastawić, musi sprawić pojazd, pięć koni, szory świetne i liberyą świetną. Bez tego ani ruszyć w konkury. Turkot pojazdu, ogień z bicza, zrzenie i parskanie koni przede dworem, to jakby artylerya wytuczona na zdemontowanie okopów i murów fortecznych, serca niewieściego. Zwykle wtenczas bramy szeroko otworzą. — Drugie jest tytuł, order, szlifa, z których zda się jakby blask padał świetny, powabny dla oka kobiecego. Od czasu gdy się u nas psuć poczęły obyczaje, trzeba było mężczyznie koniecznie być czemściś, aby Jmość domu była Sędziną, Starościną, Podstoliną, a panny córki, sędziankami, starościankami, podstolankami i t. p. Dawało to pierwsze miejsca w towarzystwach, a odzew jaśnie wielmożnych, jaśnie paniów brzmiał uszom nader melodyjnie i wdzięcznie.

Opowiadają bajeczkę o jakiéjś sołtysce. Wieś, w któréj mąż był sołtysem, zabraną została przez konfiskatę na królewszczyznę, i pierwszy urzędnik gminy, z sołtysa szlacheckiego przeszedł na sołtysa królewskiego, i zaczął się zwać królewskim urzędem sołeckim. Strasznie to podniosło w dumę panią sołtysową, która się przez to mieniła być gdzieś bliżéj samego majestatu królewskiego. W pierwszą niedzielę po tém wymienieniu ubiera się staranniéj do kościoła, wsadza złotą czapkę, i szerokie jeszcze od ślubu róbrony. Zabawiło ją to nieco dłużéj, bo toaleta niezwykła, tak że gdy wchodziła do kościoła już ksiądz odchodził od ołtarza, i ludzie wstawali z ławek. W upojeniu swéj nowéj godności rozumiała sołtyska, że to przed nią tak wstawają, i prosi żeby nazad posiedli, boć w kościele wszyscy sobie równi.

Czy prawdziwa czy zmyślona ta bajeczka, daje zawsze miarę próżności nawet w kobietach niższego stanu i nie dziw, że ta roślina, gdy się dostanie w trejbhauzy wyższych stanów, straszliwie się tam rozkorzeni i rozmoże.

Zdarzyło się że pewna młoda para oddawała wizyty, a że mąż urzędnik w aktach zakopany był, małomowny, żona lotniejsza w uściech, tak się przedstawiała. Ja jestem pani konsyliarzowa N. N. a to jest mój mąż, wskazując na obok stojącego, i na to zaszczytne zalecenie nisko kłaniającego się małżonka, którego znać nie z innych przymiotów męskich sobie poślubiła, jak aby nazywać się konsyliarzową na wielkim świecie, i tym tytułem zająć stanowisko sobie godne. Ten sam nieboże, gdy mu się zdarzyło narazić się na zły humor żony, udobróchał ją najpewniéj, gdy całując ją w czoło, zatytułował ją: moja konsyliarzowo!

Plaire, charmer, seduire
Est un bonheur dans leur printems.
Mais gouverner, avoir l'empire,
Est leur plaisir dans tous les tems.

W téj zwrotce krótkiéj czterowierszowéj zawarte długie szerokie i wielowiekowe przymioty naszych bogiń, — a wszystkie obejmuje ten jeden wyraz próżność. Wyraz ten w naszym języku jest bardzo niegrzeczny, zbyt wyraźnie wypowiada próżnią, gdzie zatém nic nie ma, gdzie tylko jest mara, złudzenie, a żadnéj wewnętrznéj wartości.

Kobieta rozsądna nie podpadnie temu przymiotowi, a raczéj nieprzymiotowi. Bo w niéj będzie

wewnętrzna wartość, to jest rozsądek. A jeżeliby próżność przyrodzoną była własnością kobiet; — jeżeliby była prawda, że forma u nich więcej znaczy niż rzecz; pozór więcéj niż istota; piękność więcéj niż prawda; — jeżeliby rzeczywiście u serc kobiecych marnotrawna wystawność i porada ponętniejsze były przed prostotą, cnocie i rozsądkowi właściwą; ekwipaże szły przed zasługami; złoto przed rozumem; salonowość przed zdatnością — wtedy rozsądna kobieta wyemancypuje się z tych słabości serca do pojęć godniejszych siebie; zatrzyma porządek, ochędóstwo, zdobność, jako przymioty zalecające kobiecość, a porzuci przesadę jakiegokolwiek rodzaju.

Gdzie próżnia, tam powstaje chęć i dążność zapełnienia téj próżni czémkolwiek. Jest to prawo całego przyrodzenia, które w zmarłym języku brzmi, natura horret vacuum, a po naszemu, że natura nie cierpi próżnego miejsca. To prawo objawiać się także musi w próżnych kobietach, i niepowstrzymana nudzi się w nich chęć zabaw i roztargnienia. Trzeba zapełnić godziny życia, zapełnić te długie dni żywota, co się leniwo ciągną zimą i latem, wiosną i jesienią. A kiedy nie można pracą, obowiązkami, zatrudnieniem domowem — czémże więc, oto ustroić się i iść na zabawę. Dziś bal u wojewodziny, jutro u prezesowéj herbata tancującą, pojutrze po obiedzie będzie wieczór w kasynie; teatr, koncert, partye wodą, partye lądem — a gdy balony ludzie wymyślą, partye powietrzem. Ale to wszystko nie starcza, przebierze się. Więc nudy niesłychane w domu, zły humór, marsy, bule głowy, spazmy. Balzac, Dumas, Sue, Mystère de Paris już przeczytane, wzięte drugi raz do ręki już nie są tak piquante, więc nudzą, a polska książka żal się boże wziąść w rękę, i przez rękawiczkę razi. Siąść do fortepianu, nie idzie z nót gładko, albo co idzie gładko zbyt otrzaskane, więc i gra nudzi. Z mężem co pomówić, to on o gospodarstwie lub rzeczpospolitéj, że, aż ziewać się zachce. Dzieci jeżeli małe, krzyczą, nieznośne, lepiéj że bona się niemi opiekuje; jeżeli starsze, niema ich w domu, są w szkołach lub po pensyach. A zatem i tu nudy. Cóż robić, przynajmniéj na wizytę jechać, czas zabić, a może się co nowego usłyszy, z mody, z krytyki onegdajszego balu, która idzie za mąż, kto się do któréj bierze i t. p. — Nie może być inaczéj, gdzie nie ma rozsądku, ni pojęcia obowiązków swoich.

Nie już próżnością ale lekkością nazwałbym ów talent kobiecy zainteresowania siebie najdrobniejszą bagatelką, wysnucia z niej nieskończonego wątku, zajmujących pogadanek. Kobiety żyjące z sobą w przyjaźni, a ta się bardzo łatwo znajdzie, całe życie będą ze sobą gadały, a zawsze będą miały sobie co do powiedzenia. Fizycy utrzymują, że ciało w nieskończoność nie da się dzielić, ale, że nareszcie przychodzimy na atomy, które się już więcéj dzielić nie dadzą. Kobiety przeciwnie przedmiot umieją w nieskończoność rozdrabiać i rozbierać, i nigdy nie przyjdą na atom, gdzieby milczenie nastąpiło, nic się już więcéj powiedzieć nie dało. Talent taki miałby tylko tę wadę, że życie pełne poważnych interesów czasu, pełne ciężkich obowiązków, zamienia na fraszki, drobiazgi, bagatele.

Równie niewinną z siebie, acz często grzeszną w skutkach jest ciekawość kobieca. Silna to sprężyna niewieściego życia, elektryzująca i ożywiająca wciąż ich umysł. Piękna Thesbe u studni, podsłuchująca przez szczeliny popękanego muru jest z idealizowaniem ciekawości kobiety. Jest ona niewinną z siebie, jak się rzekło, bo nie złośliwość, nie chęć zemsty, albo zamiar złego powoduje nią, tylko czysta chęć dogodzenia swojéj ciekawości — a jednak widzimy kobiety z małem uszkiem u dziurki od zamku, u drzwi lekko uchylonych; — nóżką drobną cicho się skradające pode drzwi, pod okna. Tak blisko więc ciekawość graniczy z szpiegostwem, i jest podobno kraj, gdzie na ten cel, z takiéj skłonności korzystają. A to byłoby okropne obrzydzenie. Lepiéj wyrzec się ciekawości, niżeli żeby jéj wróg na zgubę braci naszych używał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Z Poznania. — Pan Iżycki, w przejeździe swoim z Krakowa do Berlina dawał koncert na skrzypcach. Zadowolił słuchaczy swoją fantazyą, nazwaną „śpiew Wajdeloty." Wydobywały się z tego śpiewu często melodye, przez które muzyka wdzierała się oczywiście na pole historyi.

— W tych dniach wyszły w Poznaniu na widok publiczny Dzieła Czackiego wydane przez Nową Księgarnią, Cybernetyka Trentowskiego w nakładzie księgarni Żupańskiego i Muzamerit czyli powieści Siemieńskiego u N. Kamieńskiego i Spółki. Myślini Trentowskiego dopiero w Styczniu r. p. opuści prassę.

— Zabawy zimowe rozpoczęły się już także w Polskiém Kasynie Poznańskiém. Dano jeden wieczór z tańcami w sali mniejszéj Bazaru i jeden wieczór muzykalny. Prelekcye polskie, które miały być czytane przez członków kasyna, zostały na czas dalszy

zawieszone, lecz w szkole Ludwiki czytają się prelekcye niemieckie z oddziału umiejętności przyrodzonych i zbiera się na nie mnóstwo mężczyzn i kobiet, po większéj części z klassy urzędniczéj i wojskowéj. O przyprowadzeniu do skutku stałego Teatru polskiego w Poznaniu, coraz mniéj słychać, ale na teatrze niemieckim ma być przedstawiona sztuka „Nowożytna Polska.“ Jéj autor ma być pisarz tutejszy, który się szczerze zajmuje sprawą ogólną słowiańską, ale na zasadzie postępu europejskiego, a nie na zasadzie tak zwanego Panslawizmu, co po polsku Tatarszczyznę znaczy.

Wielu utrzymywało, że cukier posiada nadzwyczaj pożywne pierwiastki, ale mało ludzi używało go za wyłączny pokarm. Jednym z tych niewielu był Boliwar, który przez nadmiar trudów i prac, tak dalece osłabił swój żołądek, że tylko cukier mógł używać za pokarm. Wiele naocznych świadków powiada, iż w ostatnich przezeń odbytych kampaniach wyłącznie tylko cukru z wodą za pokarm używał.

MODY.

Paryż, dnia 15. Listopada 1843.

Na suknie do wyjścia na miasto zrana najlepsza jest tkanina alpacca zwana, pewien rodzaj lekkiego i pojedynczego wełno-atłasu. Podobne suknie nie mające żadnéj do świetnienia pretensyi odznaczają się wązkiemi rękawami, gładkim wysokim stanikiem i przepaską z klamrą. Najstósowniejszą do tego jest półwatowana, lekko sztepowana kapotka atłasowa bez kwiatów i bez żadnego wystroju, i szal francuzki.

Widzieliśmy na przechadzkach wiele szlafroczków jednokolorowych z jedwabiu, osadzonych sztepowanemi paskami aksamitnemi. Jest to nowy wynalazek, któremu nie zbywa ani na oryginalności, ani na elegancyi. U tych szlafroczków jest stanik gładki i powłoka bez wystroju. Oszycie powyższe obchodzi na okół. Kołnierzyk jest bez koronek. Do tego noszą kaszemirowe długie szale i kapelusze z grosdenaplu, powleczone koronkami i bukietem kwiatów na lewym boku.

Płaszcze z rękawami atłasowe w kolorach, różowym, białym i niebieskim, oszywają łabędzikiem. Płaszcz z czarnego sukna kaszemirowego, z przystającym do szyi małym kołnierzem i sznurem z kutasami bardzo pięknie wygląda. Płaszcz ten u góry wązki, spada u dołu w piękne i sute fałdy aż po kolana. Szwy są orzucone pasamonami, czarnym sznurem, który lubo nie odbija od tkaniny czarnéj płaszcza, suciéj przecie wydaje się.

Staniki u szlafroczków zawsze są gładkie i wysoko zachodzące, piękny kształt nazywa się à la Valentine. Szlafroczek taki jest z lekiego sukna, z jedwabném oszyciem, guzikami i kutasami u stanika i rękawów ozdobiony. I suknie na półstrój przeznaczone mają gładki długi stanik.

Greckie formy szczególniéj w strojach znachodzą się. Suknie te mają jednę tylko powłokę, która jest à la Aspasie otwarte.

Dla mężczyzn. Twine-paletoty odgrywaja dziś wielką rolę, i robią je z tak zwanéj skóry niedzwiedziéj (peau d'ours) tkaniny równéj ze stron obudwóch, w kolorze najczęściéj czarnym lub zielonym. Kształt twinów ten sam co dawniéj: duże i szerokie klapy, podobny kołnierz, jedwabiem podszyte.

Frak odznacza się nie tak wysokim jak dosyć szerokim kołnierzem, z przodu zachodzi aż do bioder i jest bardzo szeroki; poły zaledwie do zgięć kolan zachodzą, nie są u dołu bardzo szerokie, klapy zaś aż do samego dołu wyłożone. Rękawy krótkie i obcisłe, wyłogi u nich wązkie. Guziki są z kaszemirowéj tkaniny, bardzo płaskie i zwyczajnéj wielkości. — Do nich biorą pantalony z czarnego kaszemir-atłasu, półobcisłe i wycięte dostatecznie na nodze, tak iż zarówno do bótów jak i trzewików nosić je można.

Objaśnienie ryciny.

1. Długi wierzchni surdut z szerokiemi wyłogami i peleryną.
2. Frak z połami tak otwartemi, iż koniec kamizelki tylko widać. Wyłogi obszerne.
3. Kapelusz atłasowy z słaniającemi się koronkami i marabutem. Suknie w paski, rękawy obcisłe, ściągane we fałdy. Krótki płaszczyk, z malenkim okrągłym kołnierzem. U całego płaszczyka fałdowane oszycie.
4. Kapelusz zdobny wstążkami i piórem. Szlafroczek jedwabny. Rękawy i stanik gładki. Pasamony całość zdobią.
5. Czarny aksamitny kapelusz różowemi piórami i wstążkami zdobny. Szlafroczek kaszemirowy obłożony pasami aksamitnemi. Rękawy równoobszerne z wyłogami aksamitnemi.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*